

Strzępy wspomnień.¹

I

Wspomnienia z mojego pobytu w Zakliczynie nad Dunajcem w czasie od sierpnia 1941 do stycznia 1945.

Urodziłem się 13 VIII 1920 roku w Strzyżowie nad Wisłokiem jako syn stolarza Stanisława i matki Zofii Karolewicz, ale czas II wojny światowej spędziłem w Zakliczynie. Na zmianę miejsca zamieszkania wpłynęło aresztowanie mnie przez Niemców, jednak w grudniu 1940 zbiegłem z obozu karnego w Dębnie koło Tarnobrzega i poszukiwany przez żandarmerię niemiecką zmuszony zostałem do ukrycia się w klasztorze O.O. Reformatów, kiedy gwardianem był ks. Józef, zamieszkałem w celi wspólnie z ks. Alojzym Jońcem.

Wówczas moją dziewczyną była Maria Garduła, wysiedlona z Łodzi, a jej ciotką Aleksandra Ottmann, aptekarka w Zakliczynie, dlatego droga nad Dunajec okazała się łatwa. Mieszkałem też u p. Flakowiczowej, a następnie w wili „Zofiówka” przy ul. Jagiellońskiej, w obrębie mieszkania Krystyny Gardułowej, na poddaszu. W okresie od marca 1941 - do sierpnia 1944 r. zajmowałem się pracą nauczycielską na kompletach tajnego nauczania, odwiedzałem swoich uczniów w ich domach, otrzymywałem wiktuały, obiady, kolacje.

Moja działalność, w Ruchu Oporu Armii Krajowej w placówce „Zygmunt”, obejmowała czas od kwietnia 1942 do grudnia 1944 r., ukończyłem szkolenie wojskowe, dostałem stopień kaprała i objąłem dowództwo drużyny w plutonie „Zagłoba” (ppor. Władysław Kaczmarczyk). Mój pseudonim „Mnich” odpowiadał niemal prawdzie z klasztornej żywoty, potem „Gall”. W lipcu i sierpniu 1944 r. brałem udział wraz z plutonem dywersyjnym „Turka” (ppor. S. Stach) w akcjach na terenie wsi Melsztyn i

¹ Część materiału została opublikowana w "Zeszytach Wojnickich" Nr 10, 1994 r. i na stronie melsztyn.pl w 2008 r. Źródła te nie są dostępne on-line.

Zawada Lanckorońska, oraz nad zaporą wodną w Rożnowie. Wspólnie z „Oskarem” (Wacław Grzegorzyc plutonowy) w październiku 1943 r. zorganizowaliśmy akcję zabrania dużej ilości butów wojskowych, niemieckich, z magazynu Urzędu Gminy, dla potrzeb konspiracji i partyzantki.

W lipcu 1944 r. w mieszkaniu Charkiewiczów odbyły się egzaminy z zakresu małej i dużej matury, przy ul. Jagiellońskiej, w tzw. „Kocim Zamku”, z udziałem Tajnego Kuratora dr Włodzimierza Gałęckiego z Krakowa oraz dr Franciszka Mleczy z Łysej Góry. Wyczyn ten okazał się wydarzeniem dużej skali, wielu egzaminatorów i egzaminowanych przez parę dni przewinęło się przez mieszkania na uboczu Zakliczyna, a główną organizatorką okazała się Mgr. Natalia Charkiewiczówna - „Zorka”, wysiedlona z Kujaw, jak i jej rodzice. Brałem udział w tej ważniejszej konspiracyjnej akcji.

W roku 1943 zdarzyły się tragedie, o których trudno zapomnieć, to likwidacja getta żydowskiego, rozstrzeliwania i wywóz do obozów koncentracyjnych, oraz aresztowania i rozstrzelanie żony generała Bernarda Monda, jej siostry Witowskiej, żony polskiego majora, jej córek - Jadwigi i Zofii, zamieszkałych w wili „Zofiówka”.

Wiele zakliczyńskich działań, ich nastroju, osób - pomieściłem w powieści „Szukanie ocalenia”, szeroko w mojej powieści „Dom na Pacyfiku”, dlatego w tych wspomnieniach wypada mi zwrócić uwagę na inne, specyficzne akcenty dla tej Gminy, szczególnie rysujące się w czasie okupacji niemieckiej właśnie w Zakliczynie, w mieście historycznym, w otoczeniu ruin zamku, dworku w Lusławicach, pamiątek po arianach, dwóch klasztorów, wspaniałego Dunajca, na szlaku z Krakowa do Nowego Sącza, a w odległości kilku dobrych kilometrów od kolei w Gromniku.

Przed wojną środowisko „białego miasteczka” żyło w ciszy, w małym swoistym stylu, jakby zapomniane przez Boga i ludzi. Nagle wielki ruch powstał. Wrócili na tamte czasy dla przetrwania, zakliczyńscy rodacy, to piękna postać prof. Stanisława Nowaka, niestety nie wszystkie nazwiska zapamiętałem, a przecież i zawodowi wojskowi po wrześniowych trudach bitewnych znaleźli się w domach rodzinnych, np. Wacek Grzegorzyc, Jan Nadolnik, studenci przerwali studia, księża ukrywali się za murami klasztoru wraz z tajemniczymi mężczyznami, mówiło się - oficerami. Wreszcie fala za falą - wysiedlonych uciekinierów z poznańskiego, z Kujaw, z Warszawy, w

Pomorza, Śląska, każdy odświeżał kontakty z rodzinami, jedni pociągali za sobą następnych, starsi i młodzi, lekarze, rolnicy, nauczyciele, adwokaci, profesorowie. Któż nie pamięta szczupłej, pochylonej sylwetki prof. Witolda Rybczyńskiego ze Lwowa, mecenasa dr Wojciecha Musiała, byłego starostę z Wrześni, Adama Charkiewicza, lekarza dr Tadeusza Kolbergera, byli Złonkiewiczowie, Potoccy, Sokołowscy, Raczyńscy, Wawrykiewiczowie i wielu innych. Mieszczanie zakliczyńscy przyjmowali „gości” wielce życzliwie - to rodziny Zająców, Szczurków, Ciepierskich, Czumów, Rzepeckich, Szymanowiczów i całe gromadki miejskie i wiejskie, a proboszcz ks. Szczerbiński, a z wielkim poświęceniem aptekarka Aleksandra Ottmann - dawali przykłady odwagi.

Miejscowi i przybysze razem stanowili bazę konspiracyjną, ruchu oporu, tajnego nauczania, wzajemnej pomocy i romansów. Ta społeczność nie była zlepkiem, jakąś miazgą, a potęgą o wysokich walorach patriotycznych, kulturalnych, oświatowych. Pierwsze moje spotkanie z nauczycielem Janem Wesołowskim w klasztorze okazało się zabawne, nie znał mnie wszak, ale skoro robił spis ludności, należało i mnie ująć w rubrykę, wtedy machnął ręką i mnie skasował zbytecznego, potem już spotykałem często „Ananicza”. Rodzajowych obrazków można by namalować bez liku, w różnych barwach i akcentach. W domu p. Kohslingowej bywało wesoło, Nina tańczyła ze Staszkiem P., Julek z Zosią W., ja z Marysią G., wysiedleńcy młodzi, jak Bolek K. i Jasiu G. rywalizowali z chłopcami miejscowymi i nierzadko dochodziło do bójek. Tak ratowało się prawa młodości. Był i tragiczny, letni wieczór, w czwórkę, czy w piątkę przygotowaliśmy się do lekkiej akcji, nie nadszedł „Rak” (Stanisław Chrobak), całą noc czekaliśmy w Zakliczynie, a wtedy On walczył o życie, po próbie zaatakowania samochodów niemieckich gdzieś w Posadowej, ciężko ranny zmarł w zbożu.

Miałem i ja spotkania z czarną władzą, szedłem do Wesołowa, do Laskowskich, dla prowadzenia lekcji, zza zakrętu wyskoczyły samochody gestapo, a kilka dni wcześniej ktoś mi ofiarował długą pelerynę, bym wyglądał niczym średniowieczny rycerz, samochody przyhamowały, ale zapewne nie wyglądałem jak Zawisza Czarny i tylko mnie germańcy wyśmiali, jak w bajce dla dzieci. Do dzisiaj nie wiem na czym polegało wojenne szczęście. Na jednej ze zbiórek mojej drużyny wręczyłem dowódcy plutonu „Zagłobie” nową szablę, Władek ucałował ją i rozkazał zanieść broń za... Wawel, tak powiedział. Szablę zabrała do siebie siostra „Murzy”

(Mieczysława Migdała - mojego zastępcy), owinęła cenną pamiątkę w papier i niosąc pod pachą, niczym parasol, ruszyła w drogę, ale na mosteczku nad Paleśnicą spotkała spacerujących żołnierzyków z „glapą” zaraz zaczęli ją napastować, z werwą machała szabelką ukrytą w papierze, nawet jeden z napastników oberwał w ucho, „Wanda” wygrała bitwę, pierwszą na przedpolach Zakliczyna.

Była taka pora, że zapragnąłem odwiedzić moją matkę w Strzyżowie, dotarłem do domu późnym wieczorem, idąc ze stacji kolejowej ciemnymi kątami. Matka usłyszawszy za drzwiami mój głos, krzyknęła z przerażeniem - uciekaj. Parę godzin wcześniej byli po mnie żandarmi. Wróciłem do Zakliczyna, piechotą szedłem z Gromnika, w słońcu, dzień wydał mi się piękny, Zakliczyn także.

Moja Marysia miała pseudonim „Ziółko”, bo członkinie Wojskowej Służby Kobiet placówki „Zuzanna” - musiały zaczynać się na literkę „Z”, tego nie było wśród męskiego wojska. Szefowa „Zoo” (Wanda Saładykowska), kiedy pewnego razu rzekła mi do ucha, że „Ziółko” pojechała do Wojnicza na rowerze z pocztą tajną i uśmiechnęła się ironicznie, przyjąłem tę wiadomość obojętnie, nie wyobrażałem sobie, że to moje „ziółko” - to tak bohaterkie „Ziółko”. Na moście w Melsztynie niemiecki patrol odebrał jej rower i wróciła do domu piechotą, nie przyznała się, gdzie bawiła kilka godzin, nie pytałem.

Po wojnie dopiero dowiedziałem się o tym Jej historycznym pseudonimie. Ślub braliśmy w grudniu 1945 r. w zakliczyńskim klasztorze O.O. Reformatorów, dawał nam go ks. Alojzy i wtedy bomba pękła, bo Marysia powiedziała - Ja Ziółko biorę sobie ciebie Mnicha za męża... I tak zostało. Jak to wojna uformowała ludzkie charaktery, a było to tylko możliwe w Zakliczynie, bo na literkę „Z” i w klasztorze niby mnich się ukrywałem.

Zimy były ciche i spokojne, Sylwester obchodzony hucznie, na świątecznych stołach jakoś nie było chudo. Kiedy alianci zdobyli Tobruk, Monet Cassino, czy Paryż, u ciotki Ottmann, na piętrze przy Rynku, kolacyjki z tortami należały do wojennego rytuału. W lecie - plaża i kąpiele w Dunajcu, siatkówka, jazda łodzią, spacer na zamek melsztyński, a w dole miasteczko nasze, jak na dłoni, w dali Pogórze. I dlatego, gdy dzisiaj ktoś pyta mnie o drugie w moim życiu miejsce młodości, po rodzinnym, bez zająknięcia wymieniam Zakliczyn. Dlaczego? Dobry styl życia „cywilnego”, panująca w

dolinie ufność w przeżycie, tragedie nie załamywały nas, znaczące spojrzenia na ulicy, nabożeństwa gromadne w kościele, mocny Śpiew, jakże zgodny, wołający - racz nam wrócić, Panie. Takie małe miasteczko, a taka siła, w humorze także, w porze jarmarków przed spadzistym ratuszem i figurą św. Floriana. Bywało, że w biały dzień przenosiło się pistolety i karabiny za rzekę, w cień wierzb, różnie maskowane.

W styczniu czterdziestego piątego paliły się magazyny spółdzielcze „Snopu”, na rynku leżeli zabici niemieccy żołnierze, obsługa karabinu maszynowego, most na rzece rozbity, od Gromnika maszerowała orkiestra radziecka, w kościele msza św. i „Rota”, na rynku skromny wiec, ludzie wystawiali w oknach i patrzyli na pierwszy dzień wolności. Co będzie dalej? Wiosną wczesną, wyludniło się, to tak, jakby pasażerowie wysiedli ze statku, który powrócił z burzliwego morza - na ziemię, każdy na swój skrawek gdzieś w kraju.

Byłem w Zakliczynie w lipcu 1983 roku. W małych okienkach kwitły bujne kwiaty, szeroki Dunajec dawał rozkosze kąpieli u stóp zamku, w Lusławicach nie było już obrazków Jacka Malczewskiego, siwy furtian stał przed klasztorem w beczynności, na poczcie prawie bez ruchu, ale nowy, solidny most na rzece prowadzący do wielkich miast, gdzieś w górze pod niebem gołębie, nowe domy mieszkalne, a więc Zakliczyn zwycięski, sławny - a urodzić się w takim mieście, to pierwszy krok do szczęścia!

II

Tajne nauczanie w Zakliczynie nad Dunajcem w latach 1942 - 1944.

Poznań 1987 r.

Czterdzieści lat minęło, dziewczęta i chłopcy, którzy pobierali naukę na kompletach tajnego nauczania są dzisiaj w znacznej liczbie już emerytami, a większość ich nauczycieli z czasu okupacji już nie żyje, nie zostali uhonorowani. Podczas niedawnego, krótkiego pobytu w Zakliczynie nad Dunajcem (1982 r.), z rozmów wśród kilku poznanych tam ludzi średniego pokolenia, przekonałam się, że niewiele wiedza o tym, co się działo w ich

miasteczku. A miasteczko, ładne, miało kiedyś szczęście do udziału w wielkiej historii. Można dzięki swojemu położeniu na odludziu było bezpiecznym gniazdem. Kaden-Bandrowski nadał powieści o swoim tam pobycie tytuł: „Białe miasteczko”. Widać było spod ratusza, stojącego na szerokim rynku i drewniane domki z podcieniami ulicy Mickiewicza i ruiny zamku melsztyńskiego na skale za rzeką.

Bilsko jest do Lusławic, gdzie usadowili się w XVI wieku arianie, a pozostał nagrobek marmurowy ku pamięci Fausta Socyna, zmarłego tam w roku 1604. Po pierwszej światowej lat spędził tam Jacek Malczewski. Dzisiaj gospodarzy dobrami Krzysztof Penderecki. Są dwa klasztory, męski i żeński zbudowane w okresie kontreformacji w XVII wieku. Dookoła na stokach wzgórz leżą wioski, jest długi nowy most łączący dwa brzegi Dunajca. Drogi i rzeka kręte, jednym słowem kraina daleka od kolei, bardzo cicha.

Po aresztowaniu przez Niemców i ucieczce z obozu karnego w Dębie koło Tarnobrzega jesienią 1940, po krótkim ukrywaniu się w okolicach rodzinnego Strzyżowa nad Wisłokiem, latem 1941 roku zadekowałem się w Zakliczynie, w pierw u S. Łuki, potem w klasztorze O.O. Reformatów, kiedy gwardianem był mały, wesoły Józef Galas.

Do klasztoru dostałem się dzięki adwokatowi W.T. Musiałowi, wysiedlonemu ze Środy Wielkopolskiej. Otrzymywałem bezpłatne obiady, studiowałem książki historyczne, wspólnie z O.ks. Alojzym Jońcem, pisałem wiersze. Znałem też O.ks. Felicjana. W tym czasie ukrywali się w klasztorze niejaki Halicki i Tarłowski, mówiło się, że pochodzenia żydowskiego, pierwszy średniego wieku, brunet z wąsami, drugi starszy, tęgi, staranny w ubiorze. Przelotnie nocowali (ukrywali się) w klasztorze różni mężczyźni, mówiło się - oficerowie. Furtianem był brat Sebastian. Z czasów pobytu w klasztorze pamiętam pożar zabudowań gospodarczych, zima 1942. r.

Mieszkałem też przelotnie u rodziców mistrzyni Polski w rzucie dyskiem - Wandy Flakowiczówny, na poddaszu przy ul. Jagiellońskiej, wreszcie utknąłem na poddaszu w ilii „Zofiówka” pod opieką obecnej mojej teściowej Krystyny Gardułowej, wdowy po lekarzu, który zginął podczas wojny w Katyniu. Wiele też zawdzięczałem A. Ottmann, aptekarce oraz rodzinie W. Musiała, adwokata A. Charkiewicza, wysiedlonym z Wielkopolski i Kujaw.

Złożyłem przysięgę przed „Jurem”, Witoldem Frydrychem, późniejszym artystą i pedagogiem na Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Sopocie, w asyście Wacława Grzegorzycy, zawodowego podoficera, nazywanego „Watażką”. Ceremonia miała miejsce wiosną 1942 roku w magazynie apteki mgr Aleksandry Ottmann. Obaj moi kumple z oddziałów placówki - A.K. - już nie żyją.

Nie pamiętam dobrze jak i kiedy, sposobem chyba samozwańczym, stanąłem na czele grupy chłopaków i dziewcząt, organizując samorzutnie komplety tajnego nauczania. Zostałem zarejestrowany przez mgr Natalie Charkiewicz, brałem „pensję” od niej, a od rodziców moich uczniów - pieniądze i towary żywnościowe, a to kawałek kielbasy, mąkę, kasze, słoninę. Zostałem nauczycielem tajnego nauczania mając lat dwadzieścia dwa. Wędrowałem po domach, niczym domokrażca, piechotą albo i na rowerze, polnymi drogami, uliczkami, nieraz od rana do wieczora. Pozostało trochę przedwojennych podręczników w zakamarkach.

Sam też uczyłem się sztuki nauczania u nauczycieli zawodowych. Grono nauczycielskie zebrało się doborowo. Mgr Natalia Charkiewiczówna polonistka, wysiedlona z Bydgoszczy, jej ojciec Adam Charkiewicz uczył języka niemieckiego, wysiedlony został z Kujaw, Janina Charkiewiczowa - francuskiego, mgr Stanisław Nowak, polonista, był miejscowy. W tajniki języków klasycznych wprowadzał mgr W. Przylibski, historii nauczał dr Stanisław Lewicki, tak samo ksiądz mgr Alojzy Joniec, zakonnik z klasztoru O.O. Reformatów, a mnie przypadały przeważnie przedmioty humanistyczne, zresztą i ja zdałem wówczas maturę.

Wreszcie pełna uroku postać - profesora dr Erazm Witold Rybczyński ze Lwowa, fizyk i matematyk, znawca dziejów arian. Pamiętam jego szczupłą sylwetkę, lekko przygarbiony, niebieskie, łagodne oczy, krzaczaste brwi, zapadłe policzki. Rezydował w Lusławickim dworku, pod kolumnami w otoczeniu rysunków Malczewskiego. Zawsze uśmiechnięty, po zakupy do miasteczka chodził z damską torbą. Zmarł nagle na serce, krótko po wojnie podczas gry w brydża.

Nie daliśmy się wężącym hitlerowcom, o tajnym nauczaniu nie wiedzieli. Nie były to nasze jedyne zajęcia, nie gardziliśmy handlem ciuchami w jarmarczne środy pod ratuszem, no i wojskowe ćwiczenia, wykłady i narady. Żyliśmy w naiwnej pewności siebie, w robocie bez wyrafinowania,

bez nadmiernej czujności i wyuczonych zręczności konspiratorów. Uczniowie przychodzili pojedynczo lub grupkami do swoich nauczycieli o różnej porze dnia, z zeszytami za pazuchą. Ja chętniej chodziłem po domach, karmiono mnie hojnie, smacznie.

Pamiętam, co przeżywałem wiosną 1943 roku na gościńcu w Melsztynie, spotykając oko w oko niemieckich żandarmów, wyjeżdżających nagle samochodem zza zakrętu. A przecież w samym środku gorącej wiosny mój dowódca plutonu podporucznik W. Kaczmarek - „Zagłoba”, nauczyciel, na mój widok zeskoczył z roweru i bez ceregieli mianował mnie w czyimś tam imieniu dowódcą pierwszej drużyny, uściśnął dłoń z powagą chyba nie żartował i poklepał mnie po ramieniu „pana kaprała - podchorążego”, tak powiedział.

Pamiętam jak pewnego wieczoru, o zmroku 1944 roku przyszli do wili „Zofiówka” policjanci, niemiecki i dwóch granatowych. Mieszkała tam na parterze przez kilkanaście miesięcy żona Bernarda Monda, generała z armii Kraków, wówczas siedzącego w oflagu. Razem z generałową mieszkała jej siostra, żona majora Witkowskiego i jej dwie córki - Jadwiga i Zosia. Dwaj synowie generała - Jerzy i Adam zajmowali pokój na poddaszu w domu obok, zwanym „Kocim Zamkiem”. Mondowa, kobieta odważna, pewna siebie, nie kryła się z tym, że była żoną generała polskiego, obdarzała otoczenie dobrymi nadziejami.

O zmroku, cicho, bez hałasu, po krótkiej rozmowie, zabrano ich pod eskortą na posterunek. Kazano zostać niejkiej Korczyńskiej, współlokatorce, ale ona poszła za nimi dobrowolnie. Mondowa mówiła coś o nieporozumieniu, które miało się wyjaśnić i zapewnić powrót do domu. Stałem w ciemności na schodach, prowadzących na poddasze i słuchałem stłumionych rozmów. Jeszcze mała Zosia przyszła na górę i poprosiła Jasia Gardułę, by opiekował się do jej powrotu czarnym kotem - „Maciusiem”. Ucałowała kocisko w nos i prosiła o cierpliwość. Trzy kobiety i dwie dziewczynki zostały rozstrzelane, gdzieś w pobliskim mieście. Mówiono, że same musiały wykopać sobie wspólny grób.

Już po wojnie, podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, zachodziłem nieraz na krakowski Rynek do „Orbisu”. Stawałem nieruchomo w kącie biura i patrzyłem w twarz generała, poźółkła, żołnierska. Nie umiałem podejść do niego i do dzisiaj nie wiem, czy zniósłby on opowieść moja o

tamtej tragedii, o ostatnim wieczorze swojej żony. Uległem wtedy własnej słabości, trudno, byłem raczej cywilem.

Dzień był słoneczny, łagodny, w drewnianej wili „Zofiówka”, opatulonej łądogami dzikich winogron, na uboczu miasteczka, blisko klasztoru, przy drodze do Nowego Sącza, odbyła się uczta weselna, Baśka Musiałówna ze Środy Wielkopolskiej, córka adwokata, wyszła tego dnia - 16 kwietnia 1944 r. za męża, za zakliczyńskiego patrycjusza inżyniera-górnika Leona Szymonowicza. Było gwarno, mowy romantyczne, łązy radości, a wśród wtajemniczonych gości niepokój. Godzina policyjna blisko, panna Natalia patrzyła w skupieniu w okno, ja wybiegałem co chwilę przed dom. Konspiratorzy zjawili się wreszcie furmanką - tajny wice-kurator z Krakowa dr Włodzimierz Gałęcki i dr Franciszek Mleczek, działacz ludowy, a wówczas tajny inspektor na powiat brzeski, siedzący stale w Łysej Górze, dzisiaj słynnej z ceramiki. Gałęcki w wizytowym ubraniu, opanowany, nieco na mój gust za surowy, może to aktorstwo, o którym marzył od młodości. Mleczkę znałem, zawsze ruchliwy, ale wtedy był jakiś spięty, ostrożny. Zapewne popełniłem gafę, traktując „władze” poufale, poklepując niemal po ramieniu zbyt śmiało. Zmęczeni poszli na kolacje do Charkiewiczów i - spać.

Następnego dnia, w poniedziałek, o ósmej rano, jak w szkole, w pokojach Charkiewiczów w „Kocim Zamku”, rozpoczął się egzamin pisemny z języka polskiego. Pamiętam, że tematy z kopert dotyczyły literatury renesansu i Młodej Polski o społecznych akcentach. Każdy abiturient przy osobnym stole, białe bluzeczki, ciemne garnitury, przy egzaminach ustnych - bileciki z pytaniami, mapy, książki, trawo to parę dni, bo wszystkie przedmioty, nie wybrane, były w obróbce. Dużo mówiło się o terroryzmie, o postępie społeczno-politycznym, ze skłonnością do radykalizmu u niektórych egzaminatorów, zaś egzaminowanych tego dnia było kilkunastu. Matura dla czterech osób, a z niższych klas - około 12 dziewcząt i chłopców.

Uczyło się na kompletach w miasteczku ponad 30 osób. Frekwencja na zajęciach była wzorowa. Włodzimierz Gałęcki, już po wojnie, w swojej książce „Jeszcze raz przez życie” (Krakowa, Wydawnictwo Literackie, 1966) - opisał ten swój pobyt w Zakliczynie. Chwalił wiosenną pogodę, miejscowy „hotelik”, podał liczbę zdających - 10 i podkreślił, iż egzaminy odbywały się według wszelkich przepisowych form. Dziwił się, że całe miasteczko było podminowane faktem tych egzaminów. Po wszystkim już zjawił się na kolacji u Zająców, bo córka Kazia zdała maturę i gawędziliśmy o przyszłości.

Bryczka odjechał do Brzeska, w drodze jak wyznał, podróżni rozpytywali go o egzaminy, o wyniki, lekceważąc konspirację wobec atrakcji osoby i wydarzenia, Pomyślał nawet z obawą o aresztowaniu, ale do Krakowa szczęśliwie wrócił. „Solidarność społeczeństwa była w czasie okupacji bardzo wielka: - zakończył tym zdaniem przeżycia z trudnych dni.

Dawni uczniowie tajnych kompletów rozjechali się po wojnie niemal po całym kraju - do Poznania, Gdańska, Świnoujścia, Tarnowa, Bochni, Krakowa, Bydgoszczy, Zakopanego, Gąsawy i Bóg raczy wiedzieć, dokąd jeszcze. To dzisiaj - lekarze, nauczyciele, bibliotekarze, księgowi, prawnicy, urzędnicy, dziennikarze, inżynierowie. Niech mim wybaczą, że przywołam zapamiętane nazwiska, u pań - panieńskie. Na wezwanie Zespołu Badawczego Dziejów Oświaty Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, odpowiedziałem na postawione w kwestionariuszu pytania, dla sporządzenia swojego biogramu. Dołączyłem zapamiętane nazwiska i adresy. Uczynili to też inni. Oto one:

K. Zającówna, rodzeństwo M. i J. Gardułowice, siostry K. i A. Musiałówny, rodzeństwo K. i B. Kensowie, A. Ji . Keslingowie, J. i M. Łabnowicz, T. Z. Rybczycki, T. Laskowcy, Z. Wawrzyńkiewiczówna, Z. Orłowicz, Z. Jedliczka, E. i Z. Medyńscy, A. Sokołowska, J. i A. Lutrowie, H. Szczurkówna, M. Chrobak, M. Ciepierska, Z. Warysz, Zabiegowie - tak rzucone, bez liczenia się z alfabetem i stanowiskiem.

Również informacje od kilku osób otrzymał ks. Jan Piasiecznik - do książki o dziejach klasztoru O, O, Reformatorów w Zakliczynie. Podczas niedawnego zjazdu absolwentów w Zakliczynie - cenny i obszerny referat o tamtych odległych latach wygłosił Zb. Warysz z Krakowa.

Do działalności kombatanckiej mam zaliczony okres tajnego nauczania od 1 III 1942 do 31 VIII 1944. Za tą działalność otrzymałem w roku 1980 Medal Komisji Edukacji Narodowej.

III

Notatki o szkole zakliczyńskiej.

Poznań, 10 XI 1985.

Maturę zdałem w Zakliczynie konspiracyjnie w lipcu 1943 roku. Moja obecna żona Maria Górnicka z d. Garduła też była w A.K. i uczyła się na tajnych kompletach. Wyjechałem z Zakliczyna na studia do Krakowa w marcu 1945 r.

Szkoła miała cechy zaocznego nauczania, matury eksternistyczne jeszcze za okupacji w 1943 i 1944 r. odbyły się z udziałem konspiracyjnych władz szkolnych z Brzeska (dr Franciszek Mleczek). Świadectwo Ukończenia Gimnazjum Ogólnokształcącego firmowane przez Państwowe Liceum i Gimnazjum w Brzesku wystawiała po wojnie Państwowa Komisja Weryfikacyjna w Brzesku, podpisani: przewodniczący W. Zajązkowski i dr Franciszek Mleczek, trzy inne podpisy nieczytelne. (Maria Gardulanka, Świadectwo nr 45, 20 czerwca 1945 r.)

Do grona uczących z zakresu gimnazjum i liceum należeli m. innymi W. Rybczyński, S. Nowak, N. Charkiewiczówna, J. Charkiewiczowa, A. Charkiewicz, T. Przylibski, którzy weszli do grona powstałego w lutym lub marcu 1945 r. Prywatnego Koedukacyjnego Gimnazjum Wiejskiego w Zakliczynie n. Dunajcem (Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne Gminy wiejskiej w Zakliczynie n. D.). Szkoła ta istniała jeszcze w lipcu 1947 r., nadal pod dyrekcją Stanisława Nowaka, skoro 12 VII 1947 otrzymałem zaświadczenie z pieczętkami, stwierdzające, że byłem nauczycielem na kompletach tajnego nauczania w Zakliczynie. Podpisy złożyli świadkowie: dr Erazm Rybczyński, mgr Natalia Charkiewicz i dyrektor szkoły mgr Stanisław Nowak.

O działalności owego Gimnazjum, ulokowanego na terenie klasztoru, na I piętrze od podwórza, w celach i na korytarzu wiem z opowiadań niektórych byłych jego uczniów i uczennic. Gwardianem był O. ks. Koń. Codzienne zajęcia miały charakter lekcji szkolnych, przedpołudniowych, z klasówkami, z tablica i stolami.

Pierwsza matura duża dla eksternistów odbyła się w refektarzu 18 - 21 lipca 1945 r., potem był bal maturalny. Matura firmowana przez Państwową Komisję Egzaminacyjną Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego obejmowała 10 przedmiotów: religia, j. polski, łacina, j. francuski, historia, zagadnienia życia współczesnego, fizyka z astronomią, matematyka, biologia, propedeutyka filozofii (wspomniana jest również geografia i chemia). Przewodniczący komisji: A. Kargol, członkowie: Witold Erazm Rybczyński, Wojciech Pierzga, M. Szeliga, Stanisław Nowak, dr Artymowska-Zabiega.

Grono profesorskie: Dyrektor szkoły Stanisław Nowak - j. polski, dr Witold Erazm Rybczyński - matematyka-fizyka, astronomia, Tadeusz Przylibski - łacina, Natalia Charkiewicz - j. polski, Adam Charkiewicz - j. niemiecki, M. Szeliga - j. francuski, ks. Alojzy Joniec - historia, ks. Wojciech Pierzga - religia, dr Artymowska-Zabiega - biologia, Florkowski - biologia.

Absolwentami dużej matury byli: Halina Ciepiera, Zofia Wawrzykiewicz, Anna Sokołowska, Anna Musiał, Krystyna Musiał, Alfred Luther (lub Luter), Mieczysława Łabno, Jan Łabno, bracia Rybczykowie, Jan Garduła, Bolesław Kensy, i Chrobak (lub Robak). Wielu z nich to późniejsi nauczyciele, lekarze, prawnicy, ekonomiści, inżynierowie - w różnych stronach kraju. Świadectwa dojrzałości wydano w lipcu 1945 r. w Zakliczynie n. Dunajcem (Anna Musiał, Świadectwo nr 113/45).

Dyrektor S. Nowak przeniósł się do Ząbkowic Śląskich i tam zmarł. Utrzymywałem z nim kontakty listowne, bardzo rzadkie. Wielu z w/w nauczycieli już nie żyje. Prof. W. E. Rybczyński leży na cmentarzu w Zakliczynie, przed dwoma laty widziałem Jego grób - zaniedbany. Spotkałem się też w Łysej Górze z dr Franciszkiem Mleczką. Charkiewiczowie to krewni mojej zony Marii, także J. Garduła oraz K. i A. Musiałówny. B. Kensy był moim uczniem z kompletów.